

Piotr Pazdej

## Preludium

– Przepraszam, czy można prosić jakieś gazy, żonie przemięka.

Unosi głowę. Scena, która rozgrywa się tuż przed nim, natychmiast przywołuje wspomnienie obrazu, który wiele



Maja Chwieśko / PLSP w Supraślu

lat temu, w Edynburgu, zobaczył na wystawie dziewiętnastowiecznego malarstwa. Starszy mężczyzna stoi przed lekarzem jak parobek albo chłop pańszczyźniany przed rozdętym od dobrobytu panem. Pochylona głowa, chude ramiona w za dużej koszuli, dłonie splecione z przodu, drżące, blade, podobnie jak przedramiona poprzecinane bladymi żyłami.

Nie wie, czy z uczuć, które nagle zaczynają go szarpać, silniejszy jest gniew, smutek czy zażenowanie.

Lekarz spogląda obojętnie na siedzącą na ławce otyłą kobietę, waha się, robi nawet ruch, jakby naprawdę nie mógł się powstrzymać przed machnięciem ręką, odgonieniem tej obrzydliwej, natarczywej muchy, która ośmieliła się usiąść mu na czole, ale ostatecznie kiwa potakująco głową, odwraca się i wchodzi z powrotem do gabinetu.

Odprowadza go wzrokiem.

Kobieta jęczy cicho. Mężczyzna, najwyraźniej jej mąż, drga, pochyla się i kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Jeszcze trochę, wytrzymasz? – pyta cicho.

Kobieta kiwa głową i zaciska oczy. Błada dłoń mężczyzny zwierza się lekko, a potem zaczyna przesuwać się delikatnie po jej ramieniu i plecach.

Przygląda się temu z mimowolną fascynacją. Oto miłość i oddanie w postaci, której nigdy nie było mu dane zaznać. Czy gdyby to on i Moira znaleźli się w takiej sytuacji, stalby przy niej w taki sposób, wspierał? Albo ona przy nim? Nie potrafił sobie tego wyobrazić. A co z Magdaleną? Może, gdyby tylko spotkali się teraz, a nie czterdzieści pięć lat temu, gdy był zadufanym w sobie dupkiem o pięknych, niebieskich oczach.

Mimowolnie opuszcza wzrok; spod docięniętej do boku, tuż nad biodrem, dłoni kobiety widać przesiąkającą przez szary materiał bluzki wilgotną plamę.

Minutę później z gabinetu wychodzi pielęgniarka z koszmarnym makijażem na twarzy. Bez słowa podaje mężczyźnie kilka gaz, po czym odwraca się i znika za pomalowanymi na biało drzwiami.

Ją też odprowadza wzrokiem, jak lekarza.

Zauważył to u siebie już dawno – potrzeba obserwowania wszystkiego i wszystkich. Żeby tylko! Obserwacja

połączona jest bowiem z natychmiastowym wystawieniem oceny. Czy kiedykolwiek uda mu się zerwać z tym okropnym przyzwyczajeniem?

Mężczyzna przykłęka z wysiłkiem na jedno kolano. Odsuwa dłoń żony i unosi bluzkę. Widzi blade fałdy tłuszczu, przesiąknięty krwią i ropą opatrunek. Z zawstydzeniem odwraca natychmiast wzrok, ale coś w nim pęka.

Wstaje gwałtownie. Mężczyzna z żoną spoglądają na niego zaskoczeni; posyła im zdawkowy uśmiech i odchodzi. Mija siedzących ludzi, milczących, smutnych, schorowanych, uległych. Niektórzy unoszą głowy i patrzą, gdy przechodzi – widzi to kątem oka, stara się bowiem trzymać głowę prosto i nie rozglądać. Czuje, że wzburzenie zalewa go wrzącą falą.

Schodzi po schodach i staje w kolejce do służy. Pik, pik, pik, wszystko idzie sprawnie, czytnik bez problemu rozpoznaje wszczepione w ramiona mikronadajniki. Gdy przechodzi jego kolej, unosi dłoń z kartą, którą przed dwoma dniami dostał na lotnisku, tuż po wylądowaniu. Patrzy, jak czerwony promień lasera przesuwają się po ciemnym pasku. Nic. Cisza. Odruchowo porusza kartą i ponownie przystawia ją do czytnika. Nic. Przesuwa po pasku palcem, ale zostawia tylko wilgotny ślad, wyciera więc kartę o marynarkę. Przykłada do czytnika. Cisza. Rozgląda się nerwowo; gdzieś, jakby w głębi ramy, przez którą wchodzi się do służy, rozbrzmiewa cichy dźwięk alarmu. Odwraca się, ma wrażenie, że wszyscy wpatrują się w niego, jakby właśnie zamordował kogoś gołymi rękami.

– Nie rozumiem – odzywa się drżącym głosem; nagle opuszcza go nie tylko gniew, ale i cała pewność siebie. – Przecież działała, jak wchodziłem.

\*\*\*

Jego syn pojawia się dopiero po trzech godzinach. Rzuci mu przelotne spojrzenie – niemal cały czas siedział nieruchomo na tym samym krześle – po czym podpisuje kilka dokumentów, przeprosza, kłania się, poci. Mężczyzna przygląda mu się ze smutkiem.

Gdy wychodzą przed szpital, ma wrażenie, że zderza się z niewidzialną ścianą. Gęste od gorąca powietrze południa niemal odbiera mu resztę sił, sięga ku kołnierzykowi koszuli i rozpina dwa pierwsze guziki. Następnie zdejmuje marynarkę. Syn prowadzi go w stronę parkingu, otwiera drzwi samochodu, czeka, aż wsiądzie, zamyka drzwi, przechodzi powoli na drugą stronę, staje, szuka czegoś w kieszeni,

wyciąga mały biały kawałek papieru i oddala się już szybkim krokiem.

– Wszczepili wam już chipy, ale na parkingu wciąż musicie chodzić z biletem do parkomatu? – pyta, gdy syn wraca i zapala silnik.

– Jak widzisz. Nie to co u was, poza unią, co nie, tatku? – W drżącym głosie syna słychać stłumiony w ostatniej chwili wybuch wściekłości. I znowu to przykre uczucie żalu – wie, że tylko wszystko pogarsza, ale nie jest w stanie nic na to poradzić.

Jadą powoli w zaciętym milczeniu. Od skrzyżowania do skrzyżowania, w niekończącym się rzędzie samochodów i cichym szumie klimatyzacji. Syn trzyma kurczowo kierownicę, on zaś po raz pierwszy od przylotu ma okazję przyjrzeć się miastu. Wydaje mu się, że nic się tu nie zmieniło. Jakby wyjechał miesiąc, a nie dwadzieścia lat temu. Tylko szarości i brudu jest więcej, wszędzie, wzdłuż ogrodzeń, wokół bloków, na chodnikach, w spojrzaniach nielicznych mijanych przechodniów. I nigdzie nie widzi zieleni, to jednak nie jest dla niego niczym nowym; Szkocję od kilku lat dotyka ten sam problem. Woda jest teraz zbyt cenna, by podlewać nią trawniki, tutaj też pozamieniano je na parkingi wszędzie tam, gdzie było to możliwe.

Znalezienie miejsca do parkowania zajmuje dziesięć minut. Dojście do bloku syna kolejne pięć; nie wziął parasola, a przestrzeń między blokami zamieniła się w rozgrzany piekarnik. Oddycha z trudem, czuje, że wzdłuż kręgosłupa spływają mu strumyczki potu. Syn idzie obok niego, cierpliwie, z rękami w kieszeniach i wzrokiem utkwionym w popękane płyty chodnika. Chce zapytać go o tak wiele rzeczy, ale nie może się do tego zmusić.

Po wejściu do mieszkania kiwa głową synowej i od razu idzie do łazienki. Zamyka za sobą drzwi i siada na krawędzi wanny, czeka, aż serce się uspokoi i powróci normalny oddech. Słyszy dobiegające z kuchni głosy: krótka wymiana zdań, słów, trzaśnięcie drzwiczek od szafki. Wstaje, rozbiera się powoli i długo patrzy na swoje odbicie w lustrze.

– Tato?

– Tak?

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Długo tam siedzisz.

– Zaraz wychodzę, przeproszam, zamyśliłem się.

– Nie, nie trzeba, tylko... – Syn nie kończy, widzi jego cień po drugiej stronie matowej szyby.

– Ile mogę zużyć wody?

Cisza. Cień porusza się, ogląda, czeka.

– Ile potrzebujesz – pada w końcu odpowiedź. – Tym się nie przejmuj.

Niezdarnie wchodzi do wanny, kuca, zdejmuje słuchawkę prysznicową z uchwytu i odkręca wodę. Polewa się szybko, potem namydla pachy i krocze, splukuje. Zimno sprawia mu przyjemność, zakręca wodę i kładzie się na boku, ze zgiętymi nogami, na dnie wanny.

\*\*\*

Budzi go huk. Otwiera oczy i widzi pochylającą się nad nim, przestraszoną twarz syna. Zasnął. Syn wyciąga ku niemu ręce, a on mimowolnie zakrywa dłońmi posiwiałe i pomarszczone krocze.

\*\*\*

Salata smakuje jak bibuła, niemal biały chleb w ogóle nie ma smaku i rozpada się w palcach. Je w milczeniu, wpatrzony w swój talerz. Ma na sobie ubrania syna: sweter i spodnie od dresu. Zdążył się już rozgrzać, teraz zmusza się do jedzenia. Bierze kolejny kęs, jakby żuł plastik. Ciszę przerywa kasznięcie syna; natychmiast unosi wzrok, szuka okazji, szczeliny w tej nieskazitelnej obojętności, jaka panuje wokół stołu.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Syn kiwa głową, odkasłuje, chrząka i wypija trochę słabej herbaty. Odchyła się na krześle, patrzy na swoją żonę, potem przenosi wzrok na niego.

– Jak długo zamierzasz zostać?

„A więc to już”, myśli z rozczarowaniem, choć spodziewał się tego od samego początku, jeszcze w Szkocji, od chwili, gdy zadzwonił późnym wieczorem do syna i oznajmił mu, że kupił bilet na samolot. Zastanawia się przez moment nad tym, co powinien powiedzieć.

– Nie mam jeszcze powrotnej rezerwacji – oznajmia, decydując się na szczerłość.

Dłoń synowej zamiera na sekundę nad talerzem. Widzi to, ale nie daje nic po sobie poznać.

– Mam pieniądze – dodaje, choć nie ma na to chęci. – Dołożę się do rachunków.

Syn wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Chcesz... – zaczyna, zawieszając głos i rzuca szybkie spojrzenie żonie. On również przenosi wzrok na kobietę. Ona go nie lubi, może nawet nienawidzi – wie

to od pierwszej minuty, chwilami niechęć promieniuje od niej z tak dużą intensywnością, że tworzy wokół jej chudego, najeżonego wystającymi kośćmi ciała coś w rodzaju ciemnej poświaty. Ich spojrzenia się spotykają: on przyjmuje wyzwanie i nie odwraca wzroku, ona robi to już po kilku sekundach.

– Tak – odzywa się cicho. – Chciałbym z wami zamieszkać. Nie wiem na jak długo. Przepraszam, że nie powiedziałem o tym wcześniej.

Kobieta po drugiej stronie kwadratowego stołu siedzi w milczeniu, sztywna, z głową odwróconą w bok. Znowu widzi jej niechęć i gniew, poświata gęstnieje, rozpycha się w poszukiwaniu ujścia. Przenosi wzrok na syna. Czeką w milczeniu. Cierpliwie.

– Dobrze – odzywa się w końcu syn. – Chyba da się to jakoś...

Jego żona wstaje i bez słowa wychodzi z pokoju. Widzi, że syn wykonuje ruch, jakby chciał ją powstrzymać, ale równie szybko zamiera. Odprowadza ją tylko wzrokiem.

– Tato, to nie...

– Nie musisz mnie przeproszać – przerywa mu łagodnie. – Wcale nie...

– Przeproszać? – Syn patrzy na niego z gniewem w oczach, który jednak już po chwili znika, ustępując miejsca czemuś, co zna zbyt dobrze. Rezygnacji. – Nic się nie zmieniłeś. Tyle lat, a ty wciąż jesteś tym samym egoistycznym futem.

Ma wrażenie, że głos syna dobiega z innego pomieszczenia. Z innej jaskini. Echo jego słów rozbrzmiewa mu w głowie, coraz mocniej i mocniej, jakby nigdy już nie zamierzało zniknąć.

\*\*\*

Idzie powoli, osowiały i pogrążony w myślach. Uczucie bezsilności i pokonania, jakie uderzyło go po słowach syna, wciąż nie dawało mu spokoju. Czuł, że całe jego wnętrze, łącznie z sercem, drży od ciągłego nadmiaru emocji.

Wyszedł z mieszkania, gdy w kuchni rozległ się odgłos tłuczonego talerza. Albo szklanki. Syn poszedł tam powoli; on nie chciał czekać, aż zaczną się kłócić w jego obecności.

O tej porze, tuż po zachodzie słońca, ale wciąż przed zapadnięciem ciemności, miasto, a przynajmniej ta jego część, w której stał blok jego syna, nieco ożywała. Wciąż było gorąco, jednak nie miało się wrażenia, że wszystko za chwilę pochłonie niewidoczny jeszcze, ale już obecny,

ogień. Na każdej ławce siedziało po kilka osób, widział też dzieciaki bawiące się na placach zabaw.

Nawet nie wie, kiedy dotarł do ulicy, na której kupili z Magdaleną swoje pierwsze mieszkanie. Em dwa na drugim piętrze, z barierką zamiast balkonu. Nienawidził tego miejsca, ale Magda je uwielbiała, w końcu miała coś swojego, pracowała na to tak ciężko. Przystaje przed klatką. Na ławce siedzą dwie kobiety; zamilkły, gdy tylko się pojawił. Kłania się lekko, samą tylko głową właściwie, jednak jego uprzejmość rozbija się o mur obojętności. Spogląda w górę: okno ich pokoju jest zaklejone aluminiową folią.

– Pomóc w czymś?

Zaskoczony patrzy na dwie kobiety. Nie wie, której ma odpowiedzieć, czuje zresztą, że nie ma to na ochoty. Bez słowa odwraca się i odchodzi.

\*\*\*

Gdy wchodzi między bloki na osiedlu syna, jest już ciemno. Zgodnie z unijnymi przepisami, o wprowadzeniu których czytał dwa lata temu, pali się tylko co piąta latarnia. Już z daleka widzi pobłyskujące miarowo niebiesko-czerwone

światła. Przyśpiesza, idzie na skróty, przez jeden z tych pokrytych jałowym kurzem placyków, na których nie stoi jeszcze żaden samochód, wychodzi zza bloku i staje.

Przed klatką jego syna stoi karetka. Radiowóz trochę dalej, otoczony przez milczący tłum gapiów. Niebiesko-czerwone światła odbijają się od wszechobecnego betonu i nielicznych, wciąż zamkniętych okien. Na co oni wszyscy czekają? Zna odpowiedź, ale odsuwa ją od siebie, odrzuca, neguje jej istnienie. Gdy w końcu otwierają się drzwi i dostrzega wychodzącego tyłem, najwyraźniej ciągnącego coś, pierwszego ratownika medycznego, zaciska oczy.

## PIOTR PAZDEJ

– rocznik 1976, pabianiczanie. Technik-elektronik (średni), dziennikarz (niepełny wyższy), tłumacz (poradnikowo-mafijny) i tata (dwukrotny). Píše, odkąd czyta, i tak samo długo zmaga się z twórczymi wątpliwościami. Absolwent Studium Literacko-Artystycznego przy UJ, dzięki czemu pijał kawę z dwoma wybitnymi Markami: Bienczykiem i Nowakowskim. W 2023 roku wydał w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku zbiór opowiadań pt. *Ostatnia sarna na ziemi*, jego debiut książkowy.



fol. prywatne archiwum autora